Nr. 29. Lwów dnia 17. Sierpnia 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

CZYTELNIE LUDOWE.

I.

Czyliż nawet u nas w Galicyi potrzeba jeszcze dowodzić pożyteczności czytelni ludowych? Dlaczego oświata udzielana po szkołach wiejskich i małomiasteczkowych dotąd prawie zupełnie przepada, żadnych owoców nie przynosząc? Boć przecie, gdyby ona zapuszczała jakie takie korzenie, to cały stan rzeczy: stan moralności, gospodarstwa, poczucia obywatelskiego, stan kultury w tej połowie gmin w Galicyi, które od dawna posiadają szkoły, musiałby już przedstawiać widok pewnego postępu i naprawy. Gdzież przyczyna zastoju? czy w wadliwości szkół? Bynajmniej. Uczą one wszystkie czytać, pisać, rachować, podają niejakie wiadomości — rzucają ziarna... Atoli ziarna te przepadają, bo brakuje wszelkich warunków, żeby mogły kiełkować i wschodzić.

Na dwóch lub trzech latach szkoły kończy się u młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej całe wykształcenie. Całe jej dalsze życie układa się w sposób taki, że nabytej w szkole oświaty nietylko dalej nie rozwija, ale ją zatraca. Przez całe życie zazwyczaj — wyjątki są zbyt nieliczne — nie spotyka się włościanin i małomieszczanin z żadną książką; starsza generacya nie widzi wcale, iżby tym, którzy chodzili do szkół, nauka przydała się na coś w życiu; poczucie potrzeby oświaty wcale się nie szerzy, bo brakuje łączności jej z życiem, bo nie widać dobroczynnego jej wpływu na życie.

Stworzenie takiego łącznika, takiego odżywiacza dla umysłu powinno zatem iść w parze z zakładami i ulepszeniami szkół.

Usługę tę właśnie oddają społeczeństwu w znacznej mierze czytelnie ludowe. Ich zadaniem jest sprawić, żeby oświata w szkołach nabyta nie przepadała, ale owszem żeby jej horyzont się rozszerzał, żeby przez młode, oświeceńsze pokolenia oddziaływać na starsze — aż nie będzie wcale ciemnych i dzikich, żeby przez nawyknienie i zasmakowanie w umysłowej uprawie łagodziły się obyczaje, żeby nabywana oświata rentowała się niejako we wszelkich stosunkach codziennego życia, gminnych, społecznych, gospodarskich...

Czytelnia ludowa ma za zadanie służyć tym wszystkim celom i potrzebom, i służy im istotnie... Zamiast próżniactwa i rozpusty, które dziś po wsiach i małych miasteczkach są w wolnych od codziennej pracy chwilach jedynem zajęciem ludności, czytelnia daje umysłom przyjemny pokarm, każdemu powinna dostarczyć to, co mu najłatwiej i najlepiej trafia do smaku i rodzaju jego pracy, co go zabawi, oświeci i pouczy w jego interesach. Zamiast rozpusty karczemnej lub gminnego wylegania się w niedziele i święta, czytelnia może zgromadzać dla wspólnej umysłowej biesiady, dla wspólnego czytania, zgromadzać rodziny, starszych i dzieci dla łamania się duchowym chlebem.

Nie idzie tu o to, co mówi jakiś tam starej daty ekonom, żeby z chłopów robić literatów, ale o to, żeby się lud uczłowieczał, żeby się stopniowo wyrabiał na rozumnego gospodarza lub rękodzielnika, na rozumnego członka gminy, na obywatela, którego prawa już posiada, ale którego obowiązków nie zna dotąd wcale.

I czyż to trudno dokazać tego, żeby w każdym miasteczku była czytelnia publiczna i w każdej gminie gdzie jest szkoła? Powstają one tu i owdzie, a nikt się przecież tem nie zajmuje. Gdzie się znajdzie jeden dobrej woli człowiek, czy to ksiądz wikaryusz, czy nauczyciel, aptekarz, poczmistrz, albo która z pań, albo światlejszy wójt—każdy znajdzie od razu sposób wzięcia się do rzeczy. Najpierw z okolicy pozbiera się książki, ktoś da fundusik na pierwsze potrzeby, urządzi się jakiś bal, albo teatr na dochód czytelni.. i rzecz już pójdzie. Bo czyliż to wielkich sum potrzeba, albo od razu tysiąca książek. Niech będzie 50 książek na początek —a jeżeli te zostaną przeczytane, to już interesowani sami pomyślą o nabyciu więcej.

Urządźcie no w miasteczku bal, ale dla ludności tego miasteczka, albo teatr, ale grany przez młodzież miejscową, a zobaczycie, że czytelnia stanie się od razu popularną. Na wsi potrzeba zrazu bez ludu rzecz urządzić, propagować ją przez dzieci szkolne, z pomocą nauczyciela, a gdyby i z pomocą księdza, lub pani z dworu...

Mamy już obfitą literaturę ludową, wydawnictwa księdza Bażyńskiego, Młockiego, „Czytelnię“ Nowoleckiego, mamy pisma peryodyczne dla ludu dobre i tanie, wydawnictwo warszawskie dla wszelkich rękodzielników; a zresztą popatrzcie do „Przewodnika“ Nowoleckiego, a powie wam, co kupić.

Wydawcy powinni atoli jedną jeszcze rzecz urządzić: oto ugrupować dzieła odpowiednie w kompletne biblioteki ludowe i ogłosić cenę i wykazy całej biblioteki mniejszej lub większej. Gdzie ma powstać czytelnia, tam odrazu taką gotową bibliotekę będzie można sprowadzić—dla stron dogodność, dla wydawców i księgarzy interes.

Dobry wpływ czytelni może zwolna sprawić, że jedna i druga zagroda zaopatrzy się i w własną książkę czy to historyczną, czy gospodarską, czy religijną—taka książka zapewne napróżno w skrzyni leżeć nie będzie.

W protestanckich krajach jest zwyczaj, że każda para nowożeńców musi kupić sobie biblię, jako węgielną księgę dla nowej rodziny. Piękny zwyczaj!

U nas jest jedna instytucya — bo tak ją trzeba nazwać — która dotąd tylko ku złemu służy t. j. karczma, a która mogłaby stać się nader użyteczną — ale o tem osobno.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W chwili kiedy Zygmunt robił sobie w duszy wyrzuty o niesłuszne posądzenie Ewy, Adam znajdował się już w cichym dworku wdowy na przedmieściu. Przyjęto go tam i powitano serdecznie, życzliwie. Stasia rumieniąc się pod jego wzrokiem wyrzucała mu nieśmiało, że tak długo dał czekać na siebie, że nie zajechał wprost do nich, kiedy tu dla niego przygotowała pokoik z północnem światłem.

Adam był rozrzewniony tą dobrocią; w otoczeniu tych dwóch życzliwych kobiet uczuł się spokojnym, odświeżonym na duszy. Po burzliwej i niespokojnej nocy, jaką przebył, siedząc teraz w maleńkim pokoiku, do którego przez gęste pelargonie i mirty poranne zaglądało światło, wyobrażał sobie Adam, że się obudził po ciężkim, męczącym śnie; uczucie czyste, niebiańskie, jak powiew świeżego powietrza, ostudzało jego duszę z gorączkowych ogni; nie mógł pokryć swojej radości z tego stanu błogiego i biorąc Stasię za rękę rzekł:

— Jak mi tu dobrze między wami!

— A jednak tak ci niepilno było do nas. Byłam pewniutka, że wczoraj przyjedziesz.

— Burza mnie zatrzymała u przewozu.

— A co? nie mówiłam? — zawołała z tryumfem Stasia zwracając się do matki. — Inaczej byłby tu już wczoraj. Miałam dobre przeczucie. Ale miałam nadzieję, że w nocy przyjedziesz. Burza ustała przed wieczorem. Dlatego kazałam Jagusi czekać na ciebie i — i sama czuwałam.

Ostatnie słowa powiedziała nieśmiało, by nie wziął tego za wymówkę. Ani domyślała się, jak dotkliwym były one dla niego wyrzutem, gdy pomyślał, jakie uczucia zajmowały go wtedy, gdy ona czuwała i czekała na niego. Po tem co usłyszał trudno mu się było przyznać, gdzie noc przepędził; wolał więc wymówić się tem, że wróciwszy bardzo późno zajechał wprost do hotelu.

— I nie sprowadzisz się tu do nas? — spytała Stasia. — A może będziesz wolał mieszkać w mieście — dodała patrząc mu w oczy niespokojnie, jakby się bała, żeby nie powiedział: tak. — Może ci za daleko będzie ztąd chodzić na lekcye?

— Lekcyi żadnych mieć nie będę. Obejdę się bez nich. Mam kilka prac rozpoczętych, które mi zapewnią utrzymanie. Jeżeli więc pozwolicie być blisko was...

— Jeżeli pozwolimy? Jakiś ty dziwny. Myśmy się cieszyły na to. Nie pytając się nawet ciebie, rozporządziłyśmy twoją osobą. Mama od Wielkiej nocy nie wynajęła drugiej strony domu, by zatrzymać mieszkanie dla ciebie. Będziesz miał wygodnie i spokojnie. Ja sama urządziłam ci pokój; a przed oknami obsadziłam klomb róż bratkami, które tak lubisz.

— Jakaś ty dobra—rzekł Adam z uczuciem całując ją w rękę.

W tej chwili matka wróciła do pokoju, a za nią weszła służąca wnosząc na tacy kawę.

— Jak to, jeszcze nie nakryte? — spytała. — Spuść się tu na córkę. Panna gawędzi zamiast wziąć się do roboty.

— Natychmiast się uwinę — zawołała Stasia zerwawszy się ze stołka i biorąc się do nakrywania stołu.— Mamo, on zostaje u nas — mówiła ucieszona. — Jak to dobrze, prawda?

Matka w milczeniu spojrzała na córkę i na Adama i wzrokiem zdawała się podzielać jej zdanie.

Niezadługo wszystko troje usiadło do śniadania. Teraz dopiero rozpoczęła się gawędka na dobre. Stasia zarzucała Adama coraz to nowemi zapytaniami. Każdy szczegół tyczący się go obchodził ją bardzo; z uwagą i zajęciem słuchała opowiadań jego pobytu za granicą i nawzajem opowiadała mu z jaką niecierpliwością wyglądały listu od niego, lub wiadomości o nim w gazetach, jak ucieszyły się dowiedziawszy się, że obraz jego dostał pierwszą nagrodę akademicką.

— Poszłyśmy zaraz na mszę podziękować panu Bogu za to szczęście, jakie cię spotkało — mówiła Stasia prostodusznie. — Czy to ten obraz, co tu w Krakowie zacząłeś?

— Tak, to ten sam.

— O, ja byłam pewną, że on się spodoba. Bo to było coś cudownego — ta zakonnica patrząca z okna swej celi na świat piękny, słoneczny, wesoły, który już nie dla niej się uśmiecha, ileż ona miała spokojnej a głębokiej boleści. Widać było po niej, że sili się umrzeć dla świata i nie może. O! nie zapomnę nigdy tej twarzy.

— Porobiłem niektóre zmiany w tym obrazie. Obok tej zakonnicy namalowałem drugą staruszkę klęczącą, zatopioną w modlitwie.

— Rozumiem. Ta staruszka to jej przyszłość. Młoda zakonnica po męczących walkach odpocznie tak

kiedyś w modlitwie i znajdzie spokój. Przez ten dodatek obraz nabrać musiał wiele spokoju. Jak ty znasz nasze serca. A cóż teraz robisz?

— Rozpocząłem obraz większych rozmiarów z czasów prześladowania pierwszych chrześcyan: ostatnia msza. Scena odbywa się w katakombach. Biskup daje komunię młodej Rzymiance, którę otacza grupa z kilku osób. W głębi widać zstępujących do katakomb wysłańców Cezara, którzy Rzymiankę mają zaprowadzić do sypialni Cezara lub na stos.

— A ona stos wybierze — mówiła Stasia jakby do siebie zamyślona o obrazie.

— Obraz już naszkicowałem; tu będę go wykończał. Ty będziesz mi pozować na Rzymiankę-męczennicę, dobrze?

— Ja? Zkądże ja? — pytała zażenowana.

— Masz wszystkie warunki, jakich potrzeba.

— Na męczennicę?

— Nie, na świętą.

— Moja mamo, nie pozwalaj mu tak żartować sobie ze mnie — odezwała się Stasia, robiąc minkę obrażonej.

Adam przypatrywał się z zajęciem i zachwytem swej kuzynce i rzekł:

— Naszkicowałem sobie nawet z pamięci twój portret.

— Może będzie wierniejszy od tego, któryś rozpoczął przed swoim wyjazdem. Tam mi zanadto pochlebiłeś. Zrobiłeś ze mnie jakąś heroinę.

— Jakto, więc jest ten portret u was? A mnie się zdawało, żem go zabrał ze sobą. Com go się naszukał między memi rzeczami.

— Jest w twoim pokoju. Chodź, zobacz jak ci urządziłam pracownię.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na drugą stronę domu.

Pokój w istocie był umeblowany starannie i elegancko. Stasia pamiętała o najmniejszej drobnostce. Niczego tam nie brakowało. Okna wychodziły na ogródek, w którym po za klombem róż widać było w głębi na małem wzgórku rozłożystą lipę otoczoną ławką a przed nią stolik nie duży.

— Tam ja zwykle siaduję z robotą. Ztamtąd doglądać cię będę, abyś się nie próżniaczył. Musimy bardzo czynne życie prowadzić. Wieczorem dopiero będzie gawędka i odpoczynek.

Adam nic nie odpowiedział. Brak mu było słów na okazanie radości i szczęścia, jakiego w tej chwili doznawał.

— A to ten portret — mówiła Stasia wskazując na obrazek wiszący na ścianie — Sam teraz przyznasz, że niepodobny.

— To prawda — rzekł Adam zdejmując portret ze ściany i patrząc to na papier, to na Stasię — tyś o wiele piękniejszą.

— Adasiu! — rzekła z wyrzutem — bo się będę gniewać. Zrobiłeś się za granicą bardzo śmiałym i niegrzecznym. Popsułeś mi się. Dawniej nie byłeś takim.

— Przy tobie będę znowu lepszym.

— Pod tym warunkiem daję ci moje przebaczenie.

Podała mu obie rączki i uścisnęła w nich serdecznie dłoń swoją.

— A tam czy kto mieszka? — spytał Adam wskazując na drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

— Tam będzie ktoś mieszkał — odpowiedziała z tajemniczą miną Stasia.

— Któż taki?

— To sekret. Postanowiłyśmy z mamą nie mówić ci o tem aż do pewnego czasu.

Złe przeczucie owładnęło duszą Adama, nie mógł wytrzymać, by choć nie spytać się:

— Powiedz mi przynajmniej: mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Może twój narzeczony? — spytał Adam zgryźliwie.

— Nic a nic nie powiem. Dowiesz się z czasem.

Adam się zachmurzył. Wiadomość o nieznajomym mężczyźnie obudziła zazdrość w jego sercu. Milczenie uparte Stasi utwierdzało go w tym domyśle. Chciał jej robić wyrzuty, ale się spostrzegł, że nie ma do tego prawa. Dlaczegożby Stasia nie mogła mieć narzeczonego? Czyż on jej kiedy powiedział wyraźnie, że ją kocha, czyż żądał od niej wzajemności! Przywiązanie i zachowanie się jego mogła uważać jako miłość krewnego do kuzynki. Uznawał to wszystko w duszy, a jednak nie mniej przykro mu było i nie mógł już wrócić do dawnego humoru.

— No, co robić? — spytała Stasia widząc zmianę w jego twarzy.

— Myślę o tem, czy nie będę przeszkadzał temu panu, który tu obok mieszkać będzie.

— O, zaręczam ci, że nie. Będziesz go kochać równie jak ja.

— Równie jak ty? — spytał z ironią. — Zabawną jesteś moja Stasiu.

Ton, z jakim wypowiedział te słowa naprowadził Stasię na myśl, że Adam jest trochę zazdrośny. To ją ucieszyło bardzo, że jest zazdrośny o nią i wprawiło w nadzwyczajną wesołość, która Adama drażniła i niecierpliwiła.

— Zatem dziś jeszcze sprowadzisz się do nas. Dobrze? — spytała chcąc rozgadać zachmurzonego i milczącego.

— Wątpię, czy będę mógł tak zaraz.

— Cóż to znaczy Adasiu? Wszak przed chwilą inaczej mówiłeś. Cóż się tobie stało?

— Nic, nic — odparł otrząsając się gwałtem z melancholicznego humoru, który go opanował. — Mam kilka ważnych interesów do załatwienia w Krakowie. Chciałbym się z niemi odbyć zanim się tu sprowadzę.

— Czyż mieszkając tu nie mógłbyś ich załatwić? — spytała ze smutkiem w głosie. — Jak widzę, odzwyczaiłeś się od nas i trudno ci będzie przywyknąć.

Adamowi żal się zrobiło Stasi. Widział, że ją dotknął opryskliwością swoją i chcąc to złagodzić odrzekł:

— Nie dziw mi się moja droga, za granicą odwykłem od towarzystwa, zdziwaczałem trochę. Boję się czy z takiem usposobieniem nie będę wam ciężarem.

— Nigdy, nigdy! Będziemy się starały rozweselić cię, rozruszać.

Łagodny ton jej słów uspokoił trochę Adama, wyrzucał sobie, że tak nie umie panować nad sobą, że jest tak samolubnym w zachceniach swoich i może mieć urazę do Stasi, iż kocha kogo innego.

— Dlaczegożby miała nie kochać? — pomyślał sobie. — Kto wie czy ten człowiek nie więcej wart jej miłości niż ja. Jakimże prawem mogę dopominać się o jej miłość? Jam nie wart takiego anioła. Nie wart nawet jestem i tej siostrzanej miłości, jaką mi okazuje, bo czemże zasłużyłem na to?

Te uwagi pokazały mu niewłaściwość jego postępowania. To też gdy go powtórnie spytała, czy prędko do nich się sprowadzi — odpowiedział:

*

— Dziś jeszcze.

— Otóż tak, to lubię gdy mówisz. Poszlę Jagusię z tobą, by pomogła w przewiezieniu rzeczy.

Niebawem Adam wybrał się na miasto i w godzinę potem wrócił dorożką, w którę zabrał dwa kufry podróżne. Jagusia zaś przyszła nieco później z tragarzem, który przywiózł rzeczy, jakie koleją wysłał był Adam do Krakowa.

Rzeczy te wszystkie umieszczono w jego pokoju. Rozpakowanie zajęło dość czasu. Stasia pomagała mu i przy tej sposobności przeglądała liczne szkice, którymi teka jego była zapełniona.

— A cóż jest w tej pace? — spytała wskazując na czworograniastą podłużną paczkę ciężką bardzo.

— To dla twojej mamy — odrzekł.

— Dla naszej, powiedz. Wszak ona i twoją prawie matką była.

Adam ucieszył się tą poprawką, jaką zrobiła Stasia. Wspomnienie nieznajomego bohatera mniej go straszyło.

— Co tam jest?

— Zegar.

— Zegar. Tak to dobrze. Czekaj, rozpakuj i wstawimy go do jej pokoju. Będzie to dla niej niespodzianką bardzo wielką.

(C. d. n.)

Z WALTERA SCOTA.

Hurra! pieśń Donnil Dub!
Pieśń boju Donnila!
Niechaj w głos zagrzmi tu,
Zwoła Klan Konnila!
Jako z gór tryska zdrój,
Rzućcie skał wierzchołki,
Spieszcie wraz, ho, na bój,
Pany i pachołki!

Z dołów, z gór, chodźcie sam!
I z lesistej skały,
Trąby głos znany wam,
Sztandary powiały,
Każdy kto nosi pled,
A pod nim pierś mężną,
Niech się tu garnie wnet
Z prawicą orężną.

Pędźcie jak wicher dmie
Gdy lasy wywraca,
Szumcie jak fala wre
Gdy floty zatraca.
Prędzej wciąż, prędzej wciąż
Kupcie się górale,
Pan i chłop, wódz i mąż,
Lenni i wazale!

Patrzaj jak kipi z gór,
Pędzą lotem ptaków,
Słyszysz szum orlich piór?
To kity kołpaków...
Pledy precz, w górę miecz!
Naprzód pierś i noga!
Z pieśnią w bój, ludu mój!
Hurra ha! na wroga!

Adam Pajgert.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Do Barsa zaś pisze (str. 46 T. I): „Do dnia 11 (Września) kąpałem się w Warmbrunn. Dłużej czas nie pozwolił. Nadeszły zimna i słoty. Potrzeba było porzucić to uzdrawiające miejsce. Włóczyłem się po Saksonii aż do jarmarku, na który zjechałem do Lipska. Nie można było bez żadnego celu jeździć, obrałem sobie więc za cel mojej podróży fabryki i handel. Mogę się pochwalić, że w tym przedmiocie dobre mam wiadomości względem Saksonii i Szlązka, mógłbym nawet wyjść na nieobojętnego kupca co do towaru płóciennego. Mam znajomości z najpierwszymi domami i fabrykantami, wiem czego z Polski potrzebują, wiem jakie gatunki zkąd ciągnąć. Może się i to zda komu a nawet i mnie samemu. Stanąłem tu (w Lipsku) 19 Września. Chociaż jarmark zaczyna się w Lipsku zaraz po św. Michale, jednak handel hurtowy odbywa się tygodniem pierwej. Są tu kupcy warszawscy, z innych miast Polski jest Żydów nie mało. Wszelako kupcy tutejsi skarzą się, że ani podobieństwa nie masz jarmarku teraźniejszego do dawnych. Moskale od niejakiego czasu stracili tu kredyt, a handel polski i francuzki dla dzisiejszych okoliczności prawie za upadły uważają. Kupcy z Polski przybyli starają się więcej o układanie dawnych swoich interesów jak o nowe towary. Wszyscy twierdzą, że Warszawa bardzo jest ogołocona z mieszkańców, a zatem i kupcy oglądać się muszą, komuby towary swoje sprzedawać mogli." W liście pierwszym do Szczurowskiego zawiera się specyfikacya towarów przysłanych, a prócz tego pisze Kołłątaj: „Trzeba więc spróbować, jakaby mogła być sprzedaż płótna rzeczonego, bo jeżeliby ta pomyślnie poszła, możnaby ułożyć ciągłą ekspedycyę rzeczonego towaru, czy dla mnie, czy dla kogokolwiek. Któż wie, czyliby się tym sposobem nie odbiło jakiej części kosztu mego wojażu. Chcę i tego gatunku roboty sprobować......" „A jeżeliby ten początek dobrze poszedł, moglibyśmy potem regularną co rok ułożyć ekspedycyę tego gatunku, któryby był zyskownieszy i łatwiejszy do sprzedania......" „Myśl moja względem tego towaru (rąbków w różne desenie) jest ta: P. Maryanna Sikorska mogłaby go wziąć za swój towar, a mając znajomość w wielu miejscach, mogłaby powiedzieć, że jej kto z moich ludzi w komisie do sprzedania przysłał... a to dla spróbowania, że jeżeliby był pokup i zarobek na takowym towarze, wtedyby go można przystawić tak wiele i w takich gatunkach, jakby sobie kto życzył......" „Gdyby się pani Sikorskiej udała ta robota, mógłbym jej zrobić piękną intratę, sprowadzając co rok

moim własnym kosztem znaczną część takowego towaru, a dzieląc się z nią na pół procentem. Jeżeli się jej ta propozycya podobać będzie, niech potentuje szczęścia, wszak wojewoda kijowski tym sposobem znaczną fortunę robi." W drugim liście do Szczurowskiego jest tylko doniesienie, że oddawca tegoż wręczy mu kilka sztuk płótna.

I oto wszystko, co dotyczy owych „spekulacyjek drobnych." Nie pojmuję prawdziwie, co w nich tak zdrożnego spostrzegł Siemieński, by aż urobić z tego zarzut przeciw Kołłątajowi, mający niby dowodzić, że jak z chciwości ubliżał godności ministra i powołaniu duchownego, tak gotów był ze względu na osobiste korzyści zrzec się swych przekonań, byle sobie upewnić wygody życia wystawnego. Mnie się zdaje przeciwnie, że Kołłątajowi możnaby prędzej poczytać za zasługę, że pobyt swój za granicą starał się i w ten zużytkować sposób, zważywszy, jak były zaniedbane wszelkie stosunki ekonomiczne w owoczesnej Polsce. Jeżeli zresztą ministrom i duchownym wolno mieć dobra i brudzić się przemysłem rolniczym, wykarmiać woły i takowe sprzedawać, czyż zawieranie tylko stosunków handlowych, jak podjęte przez Kołłątaja na próbę, miałoby być sprzeczne z ich stanowiskiem i powołaniem? Wszakże Kołłątaj powiada w liście do Strassera, że może ten tylko sposób pozostanie mu do zatrudnień i do zabiegów względem potrzeb życia. Nie lepiej, że chciał w ostatecznym razie radzić sobie w taki sposób uczciwy, niżby miał szukać u kogo wsparcia?

XVI.

Aby w tem gorszem świetle przedstawić Kołłątaja, twierdzi Siemieński stanowczo, że listy jego z emigracyi innym tchną duchem, dokąd się spodziewał, że potrafi ocalić swój urząd i dobra, lecz że ton ich się zmienił, skoro konfederacya wydarła mu takowe sancytami swemi z 14 Maja i 16 Czerwca 1793, ponieważ odtąd dopiero częsta w nich mowa o cyfrach, tajemnych poleceniach i przygotowywanych w kraju robotach. W dowód, jak niezgodny z prawdą jest zarzut powyższy, przytaczam następujące ustępy z listów świeżo wydanych. W liście do Strassera z 17 Sierpnia 1792 pisze: „Jeżeliby zaś wypadło, aby przez kogo pewnego posłać listy, jest tam młodszy Mierosławski, możnaby go wyprawić, lecz to tylko w nagłej potrzebie...... Donoszę W. Panu, żem tu miał sposobność dowiedzieć się od jednego z Berlina słusznego człowieka, że podział Polski był ułożony jeszcze przed pięcioma miesiącami." Tegoż dnia pisze do Gliszczyńskiego, posła poznańskiego: „Proszę mi donieść, kto je (konfederacye w Wielkopolsce) przyspiesza przed nadejściem Moskwy? Co do mnie, nie umiem dać w tej mierze rady, póki powtórny kuryer nie nadejdzie z Petersburga i póki nie będziemy wiedzieli, co przywiezie. Jeżeli albowiem nieograniczona moc szefów konfederacyi targowickiej zostanie, jak była bez żadnego ograniczenia, tedy próżna robota wszelka; lecz jeżeli ta moc przeniesie się w ręce króla i sejmu, zapewne nie radziłbym, by się poczciwi usuwać mieli, bo wiele dobrego ocalić można, wielu złemu zapobiedz potrafi się. Jeżeli się będę mógł widzieć z JW. Panem, więcej bym mówił, jak pisać mogę." Pisząc 7 Września 1792 do Bnińskiego, marszałka konfederacyi Wielkopolskiej i konsyliarza jeneralnej targowickiej, donosi mu o ułożonym już przed sześciu miesiącami podziale Polski, a list kończy temi słowy: „Myślcie panowie, aby tak rzeczy polskie prowadzić, żeby ostatecznościami nie zgubić ojczyzny. Proszę tego argumentu nie brać za pozór. Znasz mię JW. Pan, więc mu się nie tłumaczę obszerniej." 11 Września 1792 pisze między innemi do Strassera: „Gdy się tak Bogu podobało, trzeba się upokorzyć przed jego wyrokiem i poddać się konieczności. Wyjeżdżając marszałek sejmowy (St. Małachowski) i p. Ign. Potocki właśnie to ze mną ułożyli, aby nigdzie u żadnego dworu nie być i wcale drugiej partyi nie formować a to dlatego, żeby rozdwojeniem nie dać powodu do podziału kraju, ktorego ja się obawiam dotąd z bardzo słusznych przyczyn. Ustąpiliśmy więc zupełnie tamtej partyi. Niech robi szczęście narodu, choćby z naszem prześladowaniem i zgubą. Jeżeli to będzie pomocne w szczęściu ojczyzny, powiem, że i tak jej byłem przydatny. Moja nędza stanie mi się wówczas słodszą, gdy Polak będzie wolnym, rządnym, niepodległym i szanowanym u obcych, jeżeli kraje Rpltej będą całe i siła jej polityczna wystarczy do jej obrony. Ale gdy tylko na to mię prześladować będą, żeby anarchyę i podłość naszą uwiecznić, osoby mojej prześladowanie stanie się dla mnie szlachetniejszem, lecz ojczyzna nieszczęśliwszą." 29 Września pisze do tegoż: „W położeniu dzisiejszem jest rzecz bardzo delikatna względem samej Polski świecić oczami w jakimkolwiek dworze, bo do zguby naszej niczego więcej nie potrzeba, jak wskrzeszenia dwóch partyi lub przynajmniej dania do podejrzliwości okazyi, że jeszcze być mogą."

W liście z 6 Paźdz. 1792 (str. 54 T. I) pisze do Barsa: „My sobie głowę łamiemy, bo nie możemy wszystkiego przewidzieć, a opatrzność może lepsze o losach naszych napisała wyroki, niż się spodziewamy; jak często najwięksi nieprzyjaciele nie wiedząc o niczem, dopomagają tym, których zniszczyć przedsięwzięli. Wy wszyscy rozpaczacie o Polsce, a ja nie tracę nadziei. Kiedy my różne wyobrażenia czynimy sobie o hańbie kończącego się wieku i nieszczęśliwości rodzaju ludzkiego, kto wie co nakoniec wypadnie?" A str. 56: „Pytasz mię się W. Pan, czyli w Polsce żyć będzie można? Takowe zapytanie przeraża najdotkliwszem czuciem serce do swej ojczyzny przywiązane. Są Anglicy, którzy dla zysku osiedli z całym swoim majątkiem i rodziną nad brzegami Wołgi i Newy. Co jednak przystoi wolnemu Anglikowi, gdy się za swym szczególnym ubiega zyskiem, toby go zapewne trapiło, gdyby widział naród swój pod przemocą obcej potęgi lub wyniesionego nad równość obywatela. Były czasy na Anglią okropne; widzieliśmy, że nawet w Polsce osiadało bardzo wiele Anglików uciekających od przemocy. Mamy dotąd jeszcze trwające u nas rodziny angielskie, co w podobnych przypadkach wyniosły się z Anglii. Lecz któż jest w stanie przewidzieć losy narodów? Gdyby wszyscy cnotliwi Anglicy opuścili byli swą ojczyznę w czasach tak krytycznych, któżby ją później uratował i do tak kwitnącego przywiódł stanu, w jakim się obecnie znajduje? Wszędzie i zawsze jest kilka ofiar przeznaczonych od opatrzności dla przykładu następnym pokoleniom; lecz biada temu narodowi, któregoby wszyscy odstąpili poczciwi. Są albowiem czasy upadku i powstania, a sama tylko opatrzność wie, któremu narodowi kres ostateczny przeznaczyła. Rewolucya dzisiejsza w Polsce jest nadto gwałtowna, aby się w takim stanie utrzymać mogła. Jeżeli rezonowania powyższe nie są zbyt lekkiemi konjekturami, sam W. Pan widzisz, wiele to jeszcze Polsce zostaje do powstania sposobów. Nie można dzisiaj przewidzieć wszystkich zamysłów Moskwy, nie można wiedzieć, jak się interesa francuzkie zakończą. Póki Polska tylko cała, ja nigdy o jej powstaniu nie rozpaczam. Samo tylko rozszarpanie tego narodu śmierć by mu polityczną przyniosło. Dlaczego nie chwaliłem, nie chciałem nigdy i nie chwalę tego układu, który ludzie cnotliwi w zbytku żalu swego przedsięwzięli. Można się usunąć na czas niejaki od zemsty i zawzię-

tości ludzkiej. Trzeba nawet, aby poczciwy człowiek nie wystawiał się na niebezpieczeństwo skażenia swego charakteru; lecz cóż mu ojczyzna winna, aby ją na zawsze opuszczał?" Przedstawiwszy wszystkim jako przykład godny naśladowania w Arystotelesie, pisze dalej (str. 58): „Otóż to jest przykład prawdziwej obywatelskiej cnoty. Niech sobie kto chce, wysławia okrutnych Brutusów i rozpaczonych Katonów, poczciwy obywatel póty do swej ojczyzny serca tracić nie powinien, póki tylko widzi, iż trwa jej imię, bo tak gruntownej sztuki zgadywania nikt nie posiada, aby siebie i drugich mógł zapewnić, że mu już wszystkie sposoby ratunku wydarte zostały. Niech będą jak chcą zdesperowane rzeczy, jeden cnotliwy wiele potrafi naprawić. Jego przykład dobrych zapali, słabych utwierdzi, a złych nawet jeżeli nie nawróci, to przynajmniej zawstydzi i upokorzy. Dlaczegoż poczciwy ma opuszczać swą ziemię? Cóż on przez to da poznać? Oto, że albo nie był wstanie wytrzymać hańby swego własnego narodu, albo był swej ambicyi, nie wolności obrońcą. Niech się odmienia, jak chce, los ojczyzny około cnotliwego człowieka. serce jego rozum i mocne przekonanie nigdy się odmieniać nie powinno......" „Mam ufność w litościwej opatrzności, że nie dopuści zguby ostatecznej na mój naród, że mu da czas powstania, że mu jeszcze użytecznym być mogę i że w tak przykrym rzeczy stanie przekonania własnego dla żadnych nie skażę widoków, a zatem postanowiłem nie opuszczać najnieszczęśliwszej naszej ojczyzny."

(C. d. n.)

ŻYCIE I SZTUKA.

O moje dziewczę rozkwitnięte
W posępnej lilii kwiat,
Rzęsy twe łezką przysłonięte
Cierpienia noszą ślad.

Tam na poddaszu masz izdebkę
I ptaszka w klatce śpiew,
W błękitach natchnień masz kolebkę,
W doniczce mirtu krzew.

Patrzałaś w gwiazdkę — i stoczyła
Się łezka z twoich rzęs,
Potem, że siostra głodną była,
Dałaś jej chleba kęs.

A gdy wybuchłaś w płacz na scenie,
Że martwy głaz by zmiękł,
Nie sztuki było to złudzenie,
Lecz życia szczery jęk.

Bronisław Zawadzki.

U STUDZIENKI.
(Z NERUDY.)

U studzienki dziewczę stoi,
Ciche — jako szmer strumienia,
Blade — jako lilii czoło...
A tam w górze, w białej zbroi,
Miesiąc wybiegł na sklepienia,
A w krąg niego jasne koło.

—„Stara matka mi mówiła,
Że z kropelki wód maleńkiej
Dzieci rodzą się na świecie...
A więc dobrzem uczyniła,
Żem schowała do studzienki
Moje biedne, małe dziecię!"

Władysław Bełza.

PITAGORAS
USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Bo ostatecznie, czemże jest naród, jeżeli nie zbiorem wielu rodzin, a czemże jest rodzina, jeżeli nie zbiorem jednostek, połączeniem męża z żoną i rodziców z dziećmi? Jak też wyższa umysłowość żony lub męża a poniekąd może i dziecka nadaje właściwości cechujące rodzinie, tak przez rodzinę oddziaływa jednostka na swój naród, a to co zwykle d u c h e m c z a s u nazywają, nie jest niczem innem, jak tylko duchem genialnych jednostek, które będąc geniuszami, już tem samem miały dane po temu, aby mogły wpłynąć, jeżeli nie na ludzkość całą, to na jeden lub kilka narodów, i tymże wpływem swoim owego ducha czasu wywołać. Dla tego też słusznie Carlyle (*on heroes t. I, str. 71,*) i Taine (*hist. lit. ang. t. V. str. 307 etc.*) powiadają, „że historya powszechna jest w gruncie rzeczy historyą wielkich ludzi pracujących na ziemi; wielcy ludzie są przewodnikami narodów, oni są w szerszem tego słowa znaczeniu twórcami tego wszystkiego, co massy ludzi razem wzięte osiągnęły lub zdziałały. Wszystkie przedmioty, jakie ludzie sobie utworzyli, są właściwie wcieleniem myśli, które pierwej w wielkich ludziach przebywały; historya wielkich ludzi jest więc istotnie duszą historyi świata całego, a każdy wielki człowiek. czyby on miał być poetą, reformatorem, człowiekiem czynu, pisarzem lub objawicielem, jest w każdym razie zwiastunem, wysłanym przez Wszechmocnego z nowinami dla nas."

Jak znów jednostkowy człowiek o pierwszych latach życia swojego nic pewnego wiedzieć, zwłaszcza z własnego przekonania t. j. za pośrednictwem własnej pamięci i świadomości, nie może, tak też i naród żaden nie może nic wiedzieć o pierwszej epoce swoich dziejów, o epoce tak zwanej przedhistorycznej. Jednakże gdy

wrodzona myśli jego ciekawość prze go ku rozwiązaniu stawianych sobie zapytań co do pochodzenia swego i swoich współbraci, wyobraźnią swoją wytwarza sobie odpowiedzi, któreby mogły jego ciekawość zaspokoić, jego wątpliwości usunąć, któreby mogły zwyczaje i właściwości jego narodu i czasu usprawiedliwić, wytłumaczyć przepisy moralności i prawa, które sumienie człowieka samo z siebie wysnuwa, a czując się sam tylko drobną cząsteczką tego wielkiego świata, jedną kropelką w oceanie wszechrzeczy wyśpiewywa sobie przez natchnionych ludzi z swojego otoczenia niby tradycye religijne, które w połączeniu z iskrą prawdy, która w głębinie duszy człowieka od wieków tkwić musiała, stanowią samorodną religię każdego narodu.

Naprzód pojawił się chaos, następnie ziemia i miłość; z chaosu powstała noc, ziema porodziła niebo i poślubiła się z niem, i z tego małżeństwa przyszło na świat dwunastu tytanów i tytanid, trzech cyklopów i trzech „sturękich". Niebo bało się swojego potomstwa i ukrywało je w wnętrznościach ziemi, której to znowu wielkie sprawiło boleści, w skutek których wydała z siebie na świat żelazo; z tego żelaza zrobiła sobie sierp i prosiła tytanów swoich, aby pomścili się na niebu za gwałty jego. Najmłodszy tytan czas odważył się na ten krok ojcobójczy i ziemia ukryła go przy sobie, a gdy niebo zstąpiło na ziemię, aby ją w swoje objąć ramiona, wyskoczył z ukrycia czas i sierpem powierzonym mu sobie przez matkę swoją odciął ojcu swojemu części rodne i rzucił w morze, z tych powstała Afrodyta, a z krwi, która z rany nieba na ziemię spływała powstały mścicielki (erinie) i inne podrzędne bóstwa. Po Niebie objął panowanie Czas, który sam ojcobójcą przeczuwał, że jego koniec czeka także przez jedno z dzieci jego, więc każde po urodzeniu zaraz połykał, dopiero gdy się Zeus narodził, podano mu zamiast dziecka kamień w powijakach. Tym sposobem uratowany Zeus wyrósłszy, podstępem zmusił ojca do zwrócenia połkniętego rodzeństwa swojego, Hestyi, Demetry, Hery, Posejdona i Hadesa, wraz z kamieniem, który jako świętość w pobliżu świątyni delfickiej przechowano. Zeus swą dzielnością i chytrością odzyskał panowanie i przechował je aż do końca pogańskiego świata. Tak opisuje Hezyod pierwsze chwile życia świata, a każdy nie uprzedzony przyzna, że opis ten raczej podobny do wybujałej fantazyi dziecięcia, niż do allegorycznej powagi filozofującego męża. To też podzielam zupełnie zdanie Grot'a (*hist. Grecyi. wyd niem. t. I. str. 3. 272 8vo.*), że nie należy brać religii helleńskiej za wspaniałą allegoryę, lecz za utwór dziecięcej lub chłopięcej wyobraźni, za produkt tego rodzaju, przy jakim jeszcze i dzisiaj zasypia w kolebce dziecina, kiedy go niańka jej opowiada. Inna rzecz, czyli w religii helleńskiej nie ma allegorycznych ustępów, na to się chętnie zgadzamy, lecz mielibyśmy to do zarzucenia że ustępy te z późniejszych czasów pochodzą, bo allegorya wymaga już umysłu więcej męzkiego, głębszego, starszego, dla tego też napotykamy u późniejszych poetów helleńskich więcej allegoryczności, jak u najstarszego z nich, u Homera. Myty należy tłumaczyć sobie ze stanowiska tych czasów (*Grote l. c. 273*), gdzie ludzie jeszcze nie umieli ani czytać ani pisać, lecz tylko widzieli, słuchali i opowiadali. Tych ludzi wyobraźnia wszystki pojawy światowe odnosiła do istot zupełnie podobnych do człowieka, tylko fizycznie i intelektualnie silniejszych, a młoda jeszcze myśl zadawalała się na razie nawet powierzchownemi wyjaśnieniami zawiłych kwestyi, tem więcej, ile że podówczas nie znano jeszcze umiejętności pozytywnych, które po dziś dzień rozwinąwszy się, na każdym kroku owym fantastycznym mytom kłam zadają. Bezpośredni pogląd na świat i jego wrażenia na umysł człowieka a nadto uczucia jego serca, oto jedyne źródła starohelleńskich mytów, jak i jedyna treść epopei Homera, to też słowo „*mytos*" właściwie, przynajmniej u Homera, a nawet i u tragików oznacza po prostu: opowiadanie, powiedzenie, bez względu na to, czyli ono jest prawdziwem lub nieprawdziwem; myt u Homera nie oznacza nigdzie, jak po dziś dzień zawsze, czegoś nieprawdziwego, bajecznego; to nowożytne znaczenie mytu napotykamy najpierw dopiero u Pindara, a następnie u Platona, Demostenesa i innych współczesnych pisarzy (*por. Pape'go gr. niem. sł. str. 210. t. II.*). Grote (*l. c. 285*) słusznie powiada, że jeżeli nam myty helleńskie są nieprawdę w sobie zawierającą, ale piękną a więc interesującą poezyą, to dla współczesnych były one istotnie „*rerum divinarum et humanarum scientia*" t. j. nauką wszystkiego, Zarazem należy mieć i to na uwadze, że lud helleński w szczególności, a pogański w ogólności, jeszcze za czasów Pauzaniusza, w drugiej połowie drugiego wieku po Chrystusie, w rzeczywistość mytów starohelleńskich wierzył, a tylko głębsi myśliciele, zwłaszcza ludzie, którzy zaznajomili się z innemi religiami, jak z egipską, indyjską, mazdejską a przedewszystkiem hebrejską i częściową wyższość takowych uznawali, zupełnej wiary do swojej narodowej religii nie przykładali, chociaż i na genialnych myślicielach nie zbywało, którzy wiarę przodków za świętość nietykalną uważali, jakimi byli n. p. Sofokles i Aristofanes.

Nowsza racyonalistyczna szkoła, która religię helleńsko-rzymską ze stanowiska religii natury allegorycznie tłumaczy (*Müller Otfryd, Duncker, Preller, Emil Burnouf i inni*) nie zasługuje na uznanie z tej przyczyny, że zapoznaje prawa natury ludzkiego ducha. Wprawdzie nie ma przyczyny zaprzeczać, że naród helleński jest jedną gałęzią z konaru ludów aryjskich, że gdy się oddzielił od pnia wspólnego, już tem samem przyjął i zasady religii aryjskiej, (*por. Duncker'a hist. star. t. III. str. 6. etc.*), lecz właśnie ta okoliczność, że religia helleńska wielce się różni od religii aryjskich n. p. mazdejskiej, indyjskiej, dowodzi, że to, czem się te religie różnią pomiędzy sobą, jest produktem oryginalnym chłopięcej bujnej wyobraźni przedhistorycznej Hellady. Studya nad filologią porównawczą dowodzą, że nie tylko Rzym i Hellada, Germanie i Słowianie są ludami aryjskimi, można powiedzieć młodszymi braćmi Medów i Persów a następnie i ludów, lecz nadto, (zwłaszcza studya Rudolfa Raumera dowodzą tego), że języki aryjskie są pokrewne z językami semickimi, do których prócz assyrobabilońskiego, hebrejskiego, fenickiego, arabskiego, także i egipski należy, a ztąd wypływa, że i główne pojęcia religijne były wspólne tak ludom aryjskim jak i semickim. Znaczy to tyle, że przez analogię można powiedzieć, iż wszystkie ludy z jednego wypłynęły ogniska, z jednego ziarnka wyrosły, tak plemiona mongolsko-turańskie, jak i czerwonoskórcy amerykańscy lub ludy australskie, albo i murzyni afrykańscy.

Tym sposobem nie ulega wątpliwości, że i lud Helleński od najdawniejszych czasów posiadał tradycyę historyczną, przekazaną sobie przez praojców swoich, tak co do religii, jak i co do zwyczajów i obyczajów swoich, co do moralności i prawa, a nawet i poniekąd co do historyi ubiegłych czasów, lecz nie można nie przyznać, że z czasem ta tradycya uledz musiała wielkim zmianom bądź w skutek parcia staro-helleńskich wieszczów n. p. Homera, Hezyoda lub w skutek wpływu innego, obcego, cywilizacyjnego żywiołu. Hellada sąsiadowała z jednej strony bezpośrednio z Lydyą i Frygyą, a za tychże pośrednictwem i z Syryą, Assyryą, Babilonią, Medyą i

Persyą, zaś z drugiej strony z Egiptem, nie można też zaprzeczyć, aby te od helleńskiej bez porównania starsze cywilizacye, nie wpłynęły na Helladę, zwłaszcza, że i odległość nie była tak bardzo wielką, albowiem z Miletu do Memphis, stolicy Egiptu nie było dalej jak 120 mil geograficznych, z Miletu do Sardes, stolicy Lidyi mogło być najwięcej 25 mil, do Jeruzalem najwięcej 150 mil, do Niniwy około 200, do Babilonu około 250, do Ekbatany, stolicy Medyi około 300, a do Persepolis lub Pasargade stolic Persyi około 350 mil jeograficznych. Znając ruchliwość handlu helleńskiego, a nadto zamiłowanie do odbywania podróży mędrców helleńskich, czyż można dziwić się, słysząc, że n. p. Pitagoras doszedł aż do Babilonu?

Historycy wszystkich przekonań uważają wspomnione powyżej podania o Zeusie, jego przodkach i potomkach za wymysł fantazyi Hellenów; różnią się tem tylko od siebie, że kiedy jedni w podaniach tych chcą widzieć tylko opowiadania fantastyczne, jakie i po dziś dzień jeszcze nucą nianki nad kołyską dziecięcia, inni dopatrują się tam znaczenia allegorycznego, jakie znaleść można dopiero w produktach głębokich myślicieli lub dydaktycznych poetów. Ja podzielam w zupełności zdanie pierwszych; rozważając zwyczaje i obyczaje, religię i poezyę, słowem życie całe Hellady homerowsko-hezyodowskiej, nie mogę tam dopatrzeć się śladu refleksyi głębokich, będących podstawą allegoryczności, widzę tam tylko bezpośrednią wrażliwość tak zmysłów jak i uczucia, jak to samo widzieć możemy i po dziś dzień jeszcze w pierwszym peryodzie życia każdego człowieka.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Minzloff R. dr. Literaturgeschichte der Völker des Alterthums. Hannower 1872.

Kiedy przed niedawnymi jeszcze czasy głównym przedmiotem dziejów ludzkich były opisy bitew toczonych niezawsze pomiędzy nieprzyjacielskimi narodami, lecz często między dziećmi tejże samej ziemi, a nawet obywatelami jednego i tego samego miasta — jak najdokładniejsze wyliczanie zmian dynastyi władających ludami: dziś jądro dziejów stanowią dzieje ludzkości jako takiej, t. j. ludów poddanych, treść ich życia codziennego, ich zwyczajów i obyczajów, ich stanu moralności i wykształcenia; a szczególnie literatura bywa najciekawszym przedmiotem dziejów ludzkości, zwłaszcza gdy zważymy, że obok naszych własnych oryginalnych idei, wiele, bardzo wiele zawdzięczamy literaturze ludzkości upłynionych wieków, tak iż można śmiało powiedzieć, że żyjemy ideami i wyobrażeniami przekazanemi nam przez praojców naszych.

Jeżeli literatura w ogólności tak ważną odgrywa rolę, nie dziw, że mile wita się każdą pracę, która do historyi literatury się odnosi. Chociaż już wiele dzieł o historyi literatury spisano, nie można jednak zaprzeczyć, że dotąd nie ma w żadnym ze znajomych języków należycie napisanej historyi literatury powszechnej. Z istniejących, zda mi się, niezaprzeczenie należy przyznać pierwsze miejsce dziełu Grässego, lecz i ono więcej zajmuje się tak zwaną zewnętrzną historyą literatury aniżeli wewnętrzną, więcej bibliografią i biografią, aniżeli treścią literackich płodów. Zresztą jest dzieło Grässego cokolwiek przestarzałem, szczególnie w swej części traktującej o oryencie, gdyż nowe i najnowsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie historyi starożytnego oryentu i literaturę oryentalną w innem i naturalnie odpowiedniejszem stawiają świetle. Dlatego też nowa praca zajmująca się historyą literatury zwłaszcza starożytnej i średniowiecznej, jeżeli tylko będzie dobrą, wcale nie będzie zbyteczną i owszem bardzo cenną i pożyteczną.

W dziele przytoczonem przedstawia autor dzieje literatury starożytnej. W przedmowie powiada, że dzieło jego zawdzięcza swe wyjście na świat prelekcyom, które jako profesor uniwersytecki miewał i że z notatek dla swej pamięci czynionych dzieło to ułożył.

Ażeby módz wydać sąd o tej pracy zresztą w świecie literackim nieznanego autora, należy przypatrzyć się ładowi i składowi tej pracy.

W wstępie mówi autor o stosunku historyi literatury do historyi politycznej i o ważności pierwszej, a następnie o ostatnich filologicznych wnioskach co do pochodzenia i pokrewieństwa pojedyńczych języków.

Historya polityczna opowiada, jak ludy działały, historya literatury przypomina, co ludy mówiły a raczej co czuły i o czem myślały; w epopejach Homera, w komedyach Aristophanesa, w listach Horacego łatwo podsłuchać ducha epok, w których ci pisarze żyli, ducha rasy, do której należeli. Mimo wszystkich rozumowań pozytywistów, którzy idee i ideały za fantazmagorye i mrzonki poczytują, jest pewnikiem dowiedzionym przez historyę oświaty, że idee wpływają na pochód dziejowy a zaród wszelkiego postępu tkwi właśnie w gorliwości przywiązywania się do idei. Te idee nie są przypadkowymi płodami ludzkiego umysłu, lecz wiążą się z sobą w jedną nierozłączną całość, a historya oświaty poucza nas, że takim sposobem świat dzisiejszy zawdzięcza wiele z swoich idei światu starożytnemu. Dzisiejsze ludy Europy wypożyczyły sobie od ludów starożytnych niemal wszystko swoje duchowo-umysłowe mienie, począwszy od alfabetu, jako formalnej podstawy wszystkich umiejętności, aż do najwyższych prawd filozofii i do objawionych prawd religii. Jeżeli więc religia, umiejętność, sztuka i polityka nie są wyłączną własnością pojedyńczych ludów, pozostaje im tylko mowa jako płód najoryginalniejszy. Zważywszy zresztą, że mowa jest podstawą wszelkiego umysłowego życia człowieka, musimy przyznać, że filologia w właściwem tego słowa znaczeniu, to jest umiejętność mająca za zadanie zbadać istotę i pochodzenie ludzkiej mowy, a następnie pokrewieństwo szczegółowych języków, jest podstawą historyi literatury.

Postawiono hipotezy rozmaite co do pochodzenia mowy; według tych miałaby być mowa albo dziełem człowieka, albo darem bożym, albo wreszcie utworem przyrodzenia. Najmniej zasługuje na uznanie ta hipoteza, według której mowę miałby sobie sam człowiek utworzyć naśladując głosy źwierząt. Na to ostatnie twierdzenie autora zgadzam się zupełnie; fizyologiczno-psychologiczne spostrzeżenia czynione nad ludzką mową dowodzą bezzasadności tej hipotezy, którę dawniej za dogmat uważano; przecież uczyliśmy się z komeniusza: „zrazu rozmawiali ludzie na migi.“ Max Müller nie chcąc rozwiązać węzła tej kwestyi, rozcina go mówiąc: „Mowa może być płodem przyrodzenia, dziełem ludzkiej sztuki, lub darem bożym.“ Jeżeliby mowa istotnie była płodem przyrodzenia, byłaby

najlepszym z wszystkich, jakimi człowieka obdarowało to przyrodzenie; jeżeliby zaś mowa była wynalazkiem człowieka, należałoby przyznać, że artysta sam siebie przewyższył; jest że zaś mowa darem bożym, to jest ona największym darem gdyż tylko przez mowę jest człowiek w stanie wyrazić pierwiastek boży w nim się mieszczący.

Najważniejszym rezultatem filologii jest wykazanie stopnia pokrewieństwa pojedyńczych języków pomiędzy sobą. Starożytności nie przychodziło wcale na myśl, aby języki barbarzyńskie miały być pokrewne boskim językom Hellady i Romy. W wiekach średnich uważano język hebrejski za najstarszy, a niektórzy uczeni usiłowali nawet dowieść, że w raju mówiono językiem szwedzkim, holenderskim lub innymi. Leibnitz poruszył to pytanie ze stanowiska naukowego i odtąd rozpoczęto zbierać materyały, mające służyć za podstawę do dania odpowiedzi stanowczej na to pytanie. Pierwsze miejsce, jako zbiór materyałów, zajmuje Mitridat wydany przez Adelunga i Vatera. Założenie w r. 1784 towarzystwa azyatyckiego w Kalkucie, przyczyniło się do odpowiedzenia na postawione zapytanie w bardzo znacznej części, a mianowicie tem, że zapoznano uczonych europejskich z sanskrytem, mową starych Indów. Już od samego początku dopatrzono się wielkiego podobieństwa sanskrytu z językiem greckim i łacińskim; pierwszy jednak wytłumaczył to dotąd zagadkowe podobieństwo Fryderyk Schlegel. On w wydaniu w r. 1808 dziele swojem: „O języku i mądrości Indów" dał podstawę do późniejszej klasyfikacyi języków, wprowadzając grupę języków indo-germańskich. Bopp znów w dziele swoim r. 1816 w Berlinie wydanem *„Das Conjugationssystem der Sanskritsprachen, vergliechen mit jenem der griechischen, lateinischen, persischen und germanischen Sprachen"* dowiódł pierwszy pokrewieństwa języków indo-germańskich. Za przykładem Boppa poszli pierwszorzędni filologowie Wilhelm Humboldt, Jakób Grimm, Burnouf, Benfey, Max Müller, Steinthal i inni. Z prac tych uczonych okazało się, że i sanskryt nie jest pierwszą t. j. najdawniejszą mową, lecz tylko siostrą starszą reszty indo-germańskich, indo-słowiańskich a najwłaściwiej mówiąc, indo-europejskich języków. Zwrócono też głównie za przykładem Wilhelma Humboldta uwagę obok pierwiastków na morfologię i na fleksyjność językową. Tym też sposobem wykazano różnicę, jaka zachodzi między językami fleksyjnymi, nieodmiennymi i przyczepkowymi.

Klasyfikacya języków dotąd nie została zgodnie uporządkowaną, przeciwnie nieskończony pod tym względem panuje chaos. Naturalnie najdokładniej są zbadane języki indo-europejskie, mniej dobrze znane języki erańskie, które razem z indo-europejskimi stanowią plemię aryjskie. Obecnie toczy się walka czyli języki aryjskie są pod względem swego pochodzenia spokrewnionymi z językami semickimi lub też nie. Prace Rudolfa Raumera wykazują wbrew zdaniu w swoim rodzaju znakomitego filologa Schleichera, że między językami semickimi a aryjskimi zachodzi pokrewieństwo, dowodzące wspólnego ich pochodzenia. Gdy twierdzenie to Raumera, zapewne po długich jeszcze walkach, przez badaczy kompetentnych za prawdziwe uznanem zostanie, będziemy mieli ściśle naukowy dowód na to, w co dzisiaj tylko wierzymy, co zresztą uważać możemy za wielce prawdopodobne, niczem nie zbite naukowe przypuszczenie, że umysłowe życie człowieka, począwszy od jego podstawy, od mowy, a skończywszy na filozofii i na religii z jednego wypływa ogniska. Wprawdzie chociaż udowodnioną będzie wspólność pochodzenia języków semickich z aryjskimi, pozostanie jeszcze dowodzić wspólności pochodzenia języków semicko-aryjskich z mongolskimi i turańskimi, lecz dowód ten zapewne później przeprowadzonym zostanie, a zresztą ludom mongolsko-turańskim cywilizacya dzisiejsza, jak i dawniejsza, niemal zupełnie nic nie zawdzięcza i ludy te raczej cywilizacyę semicko-aryjską przejąć powinny: przeto nie ulega wątpliwości, że skoro tylko uczeni przyznają słuszność wywodom Rudolfa Raumera, że języki indo-europejskie są spokrewnione z językami semickimi, już tem samem przyznają, że ludzkość z jednego wyrosła ziarna a pojedyńcze ludy są jakoby tylko gałęziami jednego i tego samego drzewa, tak dobrze pod względem fizycznym, jak i pod względem umysłowym.

(Dok. n.)

Słowo o naszych uniwersytetach.

Z listu jednego z wspólpracowników naszych warszawskich wyjmujemy następujące uwagi:

„Jednocześnie z młodzieżą, w bieżących miesiącach i profesorowie uniwersytetu warszawskiego składali dowody swych prac i nauki doktoryzując się w różnych uniwersytetach cesarstwa. Niemiły ten obowiązek został im narzucony przez ustawę przekształcającą szkołę główną na uniwersytet. Cel tego rozporządzenia nie trudno odgadnąć. Jak świat istnieje, nikt jeszcze nigdy nie słyszał o tem, ażeby ludziom od lat kilku lub kilkunastu wykładającym z katedr, ludziom, którzy nietylko już udowodnili swe pedagogiczne zdolności, ale i swą wiedzą w pracach naukowych — ażeby ludziom tym kazać jechać do uniwersytetów w Rossyi i tam kazać im się z kwalifikacyi legitymować, kiedy oni legitymowali się już z tego w uniwersytetach niemieckich i na stanowiskach profesorów i dziekanów sami drugim te kwalifikacye udzielali. Nie ma jednak tego złego, coby na dobre nie wyszło. Dopełnienie tej formalności było przykrem i nieprzyjemnem, natomiast wszakże ta okoliczność pozwoliła naszym uczonym okazać przed rossyjskimi profesorami swą wiedzę gruntowną i sumienną, poważną pracę. Polacy imponowali w Rossyi swojemi dziełami, a doktoryzacya wielu lekarzy i niektórych prawników, jak Holewińskiego i Miklaszawskiego były prawdziwie świetne i wiele zrobiły rozgłosu warszawskiemu uniwersytetowi. Pomimo wszystkiego, ciągle trwa zakaz ministra oświecenia, aby żadnego Polaka i katolika na katedrę w uniwersytecie warszawskim nie powoływać. Z Polaków dzisiaj są ci tylko, którzy ze szkoły głównej zostali na profesorów uniwersytetu powołani, ale ani nikt nowy, ani nawet dawny profesor b. szkoły głównej dziś do uniwersytetu powołanym być nie może. Sądzę też, że na całej kuli ziemskiej, nigdzie uczony w tak przykrych nie znajduje się warunkach jak obecnie u nas w królestwie. Nigdzie niechcą uznać jego pracy, wszędzie zagradzają mu pole do rozwoju naukowej działalności. W Warszawie nie dopuszczają go do katedry, bo jest Polakiem i nie jest prawosławnym, w Krakowie i Lwowie, bo pochodzi z królestwa, nie z Galicyi. Jest to straszne, a jednak prawdziwe. Nie mówię już nic o Warszawie, bo tu gospodarują przecież ci, którzy nas niezbyt kochają, ale w Galicyi postępowanie uniwersytetów jest niedodarowania. Tam to my sami siebie prześladujemy. Tworzymy towarzystwa wzajemnej admiracyi, popieramy naszych krewnych i powinowatych przedewszystkiem, a potem każdego byle nie z królestwa. Jest to tylko smutny dowód, że bolesne wypadki polityczne, które nas na części

podrobiły, stworzyły z nas trzy różne narody. Wiadomo przecież, że np. uniwersytet Jagielloński nigdy nie chciał dopuścić do katedry nikogo z królestwa — Bartoszewicz, Węclewski nie znaleźli w nim pomieszczenia, że już nie wspominamy innych. A gdzież przyczyna tego? W nieszczęśliwej powiatowszczyźnie i w tem, że się Galicya zniemczyła, pomimo, iż ciągle walczy przeciw Niemcom, nie chce przyjąć ich zalet — ale przejmuje wady. Wszakżeśmy wszyscy Polacy, którzy po polsku mówimy, i jedną za sobą mamy historyę, wszakżeśmy wszyscy synowie jednej ziemi i jedną powinniśmy tworzyć rodzinę, zwłaszcza w obec nauki różnice miejsca urodzenia, są więcej niż śmiesznością nie dodarowania, tem boleśniejszą, że wielce szkodliwą w następstwach, bo dla tych dziwacznych uprzedzeń, pozbawia niejedne siły do naukowej pracy zdolne, odpowiedniego jej pola. — Darujcie mi, żem się nad kwestyą uniwersytetów rozwiódł za długo, ale lżej sercu, gdy dawno gniotący go ciężar zrzuci raz jeden i głośno się wyskarzy z tego, co go boli i smuci."

SAME PŁOTKI.

II.

Do JMPani S. M. w Uściu.

Mościa Pani
Dobrodziejko!

Co też Pani mnie nieszczęśliwemu narobiłaś? Napisałaś do redakcyi *Świtu* list, z którego mi redaktor naczelny każe następujący przedrukować ustęp:

„Imci Pan *Arodaz* tak przemówił już nie do serc, ale do ambicyi naszej, że choć już należałam do składek na oświatę, jednakowoż rozgniewana klującym jego tonem, postanowiłam rozpocząć składkę w mojem sąsiedztwie na ten cel, a co zdołam uzbierać, odeszlę do redakcyi *Świtu*, by już potem w spokoju i bez wzburzenia żółci odczytywać dalsze odezwy IMCi Pana *Arodaza*."

Czy też się Pani Dobrodziejka zastanowiłaś nad fatalnymi skutkami, jakie wyniknąć mogą, co powiadam! muszą, z tego ogłoszenia powyższych słów kilku?... Czy domyślasz się chociażby, na jakie mię narażasz niebezpieczeństwa? Przed kilku już dniami pewne pismo galicyjskie dało pewnej gazecie również galicyjskiej trzyszpaltową admonicyę za to, że się ostatnia ośmieliła użyć „środków nieszlachetnych" dla pobudzenia Polek do oddania swych klejnotów na oświatę. Gazeta owa miała napisać—niech jej to P. Bóg przebaczyć raczy!—do owych Polek, swych czytelniczek—dla podniecenia zapewne ich ofiarności — że, jak skoro stare swe klejnoty na oświatę ludu oddadzą, mężowie, bracia i narzeczeni sprawią im nowe (*la bêtise masculine est bien connue!*)... O zgrozo! o biada! co też ta stara grzesznica, gazeta owa, sobie myśli? Czy nie ma Boga w sercu, że tak bezczelnie z płcią piękną na męzkie spiskuje kieszenie!... Otóż nie inne kazanie może i sługę Pani spotkać, skoro owe pismo dowie się o skutkach pierwszej odezwy mojej w *Świcie*.

Ale czy Pani może na seryo wzięłaś ostatni mój przypisek? — Wie Pani, że gdyby tak było w istocie, nietylko dostałbym żywych wyrzutów sumienia, alebym zwątpił zupełnie o mojej umiejętności pisania... Jakto! czyż może być nieszczęśliwszy los i smutniejsze świadectwo dla pisarza: chcieć napisać czarno, a wyrazić biało, chcieć, jak ja, składki ludowe wyśmiać, wyszydzić, a wywołać mimo-chcąc wprost przeciwny skutek!... Ah! wie Pani, że gdybym mógł przypuścić, że Pani napisałaś wyżej przytoczone słowa na seryo, żeś nie żartowała i żem ja istotnie, rzeczywiście, przyczyną wymienionego tam postanowienia... wie Pani cobym zrobił?... — Oto nie namyślając się ani jednej chwili, bez najmniejszego względu na to, coby na tem miała ucierpieć Polska — złamałbym moje pióro i już odtąd nigdy, oh przenigdy! prozy mejbym światu do czytania nie dał...

Jakto! do tego stopnia być niezgrabnym, żeby na taką kompromitacyę narazić zacną polską matronę (czy może panionkę — przepraszam!)?!... Czy też Pani rozważyłaś do czegoby krok podobny Panią doprowadził?... Zajmować się zbieraniem w powiecie składek na oświatę ludu! Ależ zastanów się Pani! i dowiedz naprzód, czem są owe składki?... Muszę Pani, skoro tak rzeczy stoją, całą tę historyę wyłożyć jak na dłoni — bo widzę, żem doprawdy w niebezpieczną wplątał się historyę i sumienieby mi wyrzucało nie na żarty, gdybym dziś nie uczynił wszystkiego, co w mej mocy, by przeszkodzić złemu, o którem może być prawdopodobieństwo, żem je wywołał...

Otóż opowiem Pani co to są te składki, kto rzucił pomysł onych i w jakim celu? i do czego one doprowadzić mogą nasz nieszczęśliwy, eksploatowany kraj — biedną Galicyę?!... Tylkoż Pani nie pomyśl znowu, że tym razem także plotkę pisać będę—tytułu wprawdzie zmienić nie mogłem, ale w gruncie będzie to prawda — najrzeczywistsza.

Punkt I.

Od kogo wyszedł ów szatański projekt składek na oświatę ludu?

Zapytaj się Pani swego ks. proboszcza, a odpowie, że tak nakazuje kościół i przezorna mądrość ojców naszych: „W każdej rzeczy, złej czy dobrej, jak skoro o robotę chodzi, nie pytaj czem robota owa jest sama w sobie, złą czy dobrą? — pytaj, kto ją poczyna? Chociażby praca, do której Cię wzywają była w sobie jak najlepszą, gdyby tylko inicyatorem jej miał być na nieszczęście heretyk jaki lub broń Boże! człowiek nie z tego świata, odrzuć ją, przeklnij, przeszkadzaj jej wszystkiemi siłami... A na odwrót, skoro Cię zachęca twój przyjaciel, lub twój przewodnik duchowny, chociażby do rzeczy najgorszej na pozór, słuchaj ślepo i pomagaj jak tylko zdołasz—bo złem być nie może co twój przyjaciel, albo ksiądz radzi."

Tak każe przezorna mądrość i zachowawcze zasady!

A Pani, czyżeś się zastanowiła nad tem, kto pierwszy tę zbrodniczą myśl składek rzucił? Azaż nie Emigracya?!... Owe farmazony, włóczęgi, zbieranina ze wszystkich końców Polski... ani to tytułowani, ani wiadomo nawet czy szlachta?... A wie-li kto, w jakiej to myśli oni rzecz tę zaproponowali?... może by wspierać herezyę Döllingera? I pani byś się z takimi ludźmi, o których nie wiedzieć nawet kto ich rodzi? miała wiązać. Lecz może Pani nie wierzysz, że to Emigracya podała myśl składek — czytaj tedy wiedeńskie dzienniki,

a przekonasz się z nich, do jakiego stopnia nawet sam p. Namiestnik, Ekscellencya, dał się im wyprowadzić w pole... Nie mało mu to nawet na jego zagraża posadzie, jak pisze *Neue Freie Presse.*

Punkt II.

Czem są składki na oświatę same w sobie?

Mądrość narodów powiada — spytaj się Pani ks. proboszcza a odpowie:

„P. Bóg świat stworzył, a niedowiarki tylko chcą go poprawiać. Tworząc świat, P. Bóg stworzył naprzód bogate (historya o Adamie i Ewie to była plotka, jak się pokazuje), a później dopiero ubogie, aby bogatym służyli; naprzód szlachtę, a potem dopiero chłopów; a przed szlachtą jeszcze stworzył baronów; a zaś przed baronami hrabiów, i dał im po dziewięć pałek do każdej korony, oszczędzając za to na mózgowej massie — lecz o tem ostatniem nie wypada zbyt głośno mówić... A zaś na samym już początku stworzył P. Bóg Ekscellencye, szambelanów i J. O. książąt... Ztąd dla ludzi rozumnych jasna jak słońce płynie nauka, że chłop powinien pozostać chłopem, a baron baronem; chłop powinien pozostać głupim, aby głupio P. T. szlachcie służył... A te farmazony chcą chłopów uczyć... Czy słyszałaś Pani?... Świat przez Boga stworzony poprawiać—nie dobry im taki jaki istnieje od początku!...“

Punkt III.

Do czego składki mogą doprowadzić Galicyę?

Naprzód ją zrujnują! A później, wiesz Pani, że jak ci emigranci nauczą wszystkich czytać i pisać, Pani będziesz musiała sama strugać ziemniaki i warzyć sobie wieczerzę...

Później, ta ich oświata, wszakże to czysta herezya!... Ani księży chcą, tylko samych świeckich nauczycieli!...

A zatem, jako do katoliczki i jako do Polki także— bo przecież w Polsce uż od XVI wieku tego nie bywało (przedtem to co innego!), żeby chłopi czytać umieli; jako do damy nakoniec, rozsądnej i dobrego towarzystwa, zwracam się do Pani z prośbą, zaklinam Ja, wyrzecz się swego projektu zbierania składek na oświatę ludu — jeżeliś go doprawdy (czego się nie spodziewam) kiedy na seryo miała i wytłumacz twoim sąsiadkom także, jeślim taki nieszczęśliwy, że mię nie zrozumiały, że wszystko com pisał ostatnim razem był to tylko żart, istny żart, jak na plotkarza przystoi... Powiedz im Pani! żem przecie nie tromtadrata żaden ani redaktor *Gazety Narodowej*, żebym miał składki na oświatę ludu forytować... Gdybym miał kiedy — od czego uchowaj mnie Panie! na dziennikarza się kierować, raczejby mnie ku drugiemu pismu lwowskiemu wabiły takt onego, umiarkowanie, zmysł polityczny i, w polemice, ton dobrego wychowania.. Ale, chwała Bogu! mam nadzieję, że politycznym dziennikarzem nigdy nie będę, i że, oprócz *Świtu*, który jest organem waszym, piękne Panie! żadne z pism lwowskich mojej prozy nie skosztuje... Tak mi Panie Boże dopomóż i Trójco Przenajświętsza! — jak się mówi przy ślubie... Pamięta Pani?...

A teraz, po tak długiem i nieco nudnem — proszę wybaczyć — kazaniu, powrócę do mego tytułu i opowiem wam plotkę — ale już plotkę istotną — o mało com nie powiedział prawdziwą... w której już ani słowa, ani nawet słóweczka prawdy nie będzie...

Słuchajcie!

. . . .

Ale, ale! Zanim do plotki przyjdzie... Przypomniałem sobie, żem obowiązany jeszcze dać Pani radę: jeśli Pani masz rzeczywiście pieniądze do wyrzucenia, to zamiast je dawać na oświatę ludu, zkąd, broń Boże! jeszcze herezye jakie wyniknąćby mogły, a na czem, w najlepszym razie, skorzystałaby tylko chyba Polska jedna — a co nam po Polsce! Polska to polityka, a za politykę, p. c. k. prokurator *Świtowi* procesa wytacza — jeśli pani masz rzeczywiście pieniądze do wyrzucenia i sąsiadki Pani także, sto lepszych możecie z tej zbywającej monety zrobić użytków...

Możesz Pani i każda z was może, zamiast jednego exemplarza *Świtu*, zaprenumerować dwa exemplarze, trzy... a nawet sto! gniewu o to nie będzie... W większej liczbie exemplarzy zaprenumerowany *Świt* możecie Panie rozdawać darmo, dla cywilizowania świata i to dopiero Oświata prawdziwa! Możecie z numerów *Świtu* wykrawywać formy do staników, albo też w nim wielkanocne wypiekać babki; możecie, nakoniec — oh! toby był dla nas zaszczyt najpożądańszy!... robić żeń papiloty, owe szczęśliwe papiloty, którym — dla tego, że je traktujecie *en rien du tout* — tak poufale pozwalacie pieścić się z waszemi prześlicznemi twarzyczkami i i na główkach waszych cudownych z wietrzykiem swawolić jesiennym — *moi je suis pour la* jesień, *comme vous voyez; le printemps me semble trop fade et trop usé!*

Chacun son gout,
Savez — vous!

comme dit la chanson de Bruxelles... Ça tient peut-être aussi un peu à ce que moi-même, je commence à me sentir déjà sur le retour — mais, pour l'amaur de Dieu! n'en soufflez mot à vos voisines — cela me perderait dans leur estime...

Ale nie! Lepiej, nie róbcie, Panie! z mojej prozy papilotów.. przyrzeczcie mi to z góry i zaraz... Bo już czuję zazdrość falującą mi po żyłach, kłębującą nerwy, na samą myśl, że proza moja może dostąpić u was, na papiloty przerobiona, łask, o których mnie samemu ani nawet marzyć... Gotów jestem tej mojej prozie co złego zrobić, doprawdy! Przejdźmy lepiej do czego innego...

Ah! wszakże nie skończyłem jeszcze o wybornych użytkach, jakiebyście mogły zrobić ze zbywających wam pieniędzy, nie potrzebując się uciekać aż do marnowania ich na oświatę (marnowania — *je sais mon mot et je le retiens*)... Gdybyście nie chciały tak wiele prenumerować *Świtu* — w czem jednakże, pozwólcie to sobie powiedzieć, błąd wasz byłby wielkim — tedy mogłybyście klejnoty wasze posłać papieżowi... Papież dzisiaj taki biedny, po utraceniu tronu, że chcąc dopomódz biedniejszemu jeszcze od siebie biskupowi ks. Kuziemskiemu, którego Moskale oszukali, podobno w Chełmie, pomimo, iż im tam tak gorliwie nawracał unitów na prawosławie; chcąc biednemu temu i zasłużonemu kapłanowi, powiadam, przyjść w pomoc, papież zaledwie zdołał nadesłać na jego użytek 3000 dukatów w złocie, co reprezentuje mizerną sumkę 15.000 guldenów w śrebrze... A wieleż to takich Kuziemskich biedny papież ma do wspomagania dzisiaj, kiedy pod moskiewskim zaboborem, tylu księży katolickich przechodzi na prawosławie i parafian swoich nawraca na prawdziwą wiarę carów!... Oprócz tego, czyż nie ma wielebnych OO. jezuitów prześladowanych wszędzie, wypędzanych zewsząd?!... Wydanych na łup bezbożników, panów świata tego, któż wesprze te pożyteczne sługi kościoła, jeśli nie Pius IX., nieomylny następca również nieomylnego Klemensa XIV., który zakon tychże wielebnych OO. jezuitów był skasował i za zbrodniczy, a światu szkodliwy ogłosił...

Gdybyście mniej czułe córki opuszczonej głowy kościoła, ale niemniej przeto gorliwe katoliczki, nie chciały nic dać na święto-pietrze — żałowałbym was wtedy bardzo, ale nie mniej przeto, mógłbym wam wskazać

jeszcze kilka pożytecznych, a może nawet coraz pożyteczniejszych użytków z waszych pieniedzy...

W Chinach są dzieci, które OO. jezuici, poukrywani w krzakach łowią w samotrzaski — jak u nas kuropatwy — gdy wyjdą (mowa o dzieciach, a nie o OO. jezuitach) w pole zbierać kwiatki lub pokłosie... Dziatki te, porwane rodzicom i na chwałę bożą pochrzczone, potrzebują przecie nauki i oświaty, bez której nasza chłopska *marmaille* obchodziła się dotąd, a więc i dalej obchodzić się może...

W Adryanopolu także, rywale OO. jezuitów, przewielebni OO. zmartwychwstańcy założyli szkołę dla małych Bułgarów jak o tem, z przejęciem się prawdziwie świątobliwem donosi wczorajszy *Czas*... Czyż nie lepiej, za nasze pieniądze uczyć szlachetnych (?) Bułgarów, aniżeli naszych ruskich lub mazurskich chamów?...

Są wreszcie do podtrzymania katolickie szkoły w biednej Irlandyi, na które skąpy parlament angielski zaledwo kilka milionów funtów (funt znaczy z górą 10 guldenów) daje rocznie...

Wszystko to są wydatki pożyteczne i — przyznajcie — pożyteczniejsze stokroć nad ten, który wam tromtadraci proponują... Ale wiecie jeszcze jaki będzie wydatek najpożyteczniejszy — oto, ponamawiajcie mężów waszych, żeby was powywoziły zagranicę, do wód, po modne stroje do Paryża (Paryż bowiem — nie wierzcie Niemcom — zawsze jeszcze taki modny!), bo kobieta jest na to, aby się bawiła, stroiła i traciła mężowskie pieniądze — nie zaś wcale na to, aby się tam krajem, Ojczyzną i dobrem publicznem zajmowała — od tego są niemieckie Amty... Wszystko, co wam mówią, albo piszą o obowiązkach Polek, córek Ojczyzny — wierzcie mi moje Panie! to, jak słusznie powiada pewne rozważne pismo lwowskie, czysty wymysł tromtadratów; albo gorzej jeszcze! intrygancka reminiscencya „anonimowych i pieczątkowych czasów“, jak trafniej jeszcze określił, dziś właśnie, senior pism krakowskich... Przy tem, zważcie jeszcze: wszystkie te mniemane obywatelskie obowiązki kobiet, to coś dziwnie trąci emancypanckiemi teoryami — *fi! quel mauvais gout... Une femme devenir sérieuse, allons donc!... Une femme qui se respecte — s'amuse...* Oto jest dogmat jeden i jedyny, w który wierzyć powinna kobieta — dobrego tonu. Po za tem, *il n'y a que des songes creux et pervers...*

Jeszcze, nie mówię, kobiety bez majątku, mieszczańskie córki!... Tym wolno przybierać ton seryo i poważny, bo nigdy, biedaczki, bawić się nie będą miały za co; tym wolno nawet uczyć się i myśleć, jakkolwiek nauka i myśli wyorują bruzdy na czole, psują płeć... One dbać muszą o stanowisko dla siebie, o ludzką godność w sobie, o szacunek świata — to ich smutny los!... Lecz szlachecka córka, urodzona do korony, czegoż komu pozazdrościć może, gdy, w domu męża zostanie sułtanką?...

Amusez — vous donc, Mesdames! — vous resterez des jeuets... Quel sort égale celui-là?... Et surtout ne vous mêlez pas de la oświata ludowa... *Voilà mon conseil... Et là-dessus, salut!*

Wasz zawsze wierny

Arodaz.

Co do obiecanej plotki, przeczytajcie raz jeszcze mój powyższy artykuł, byle z uwagą, a niejedną w tekscie znajdziecie. — Cała sztuka plotkarstwa na tem, aby tak pleść, żeby nikt nie spostrzegł.. Inaczej, pierwszy lepszy stary kawaler potrafi...

Ostatnie wiadomości. — Komitet dam we Lwowie (nie dziw, to siedlisko tromtadracyi!) zebrał fantów na oświatę, w wartości 10,000 guldenów — nie wiadomo tylko dotąd, w jakiej kasie je złożył...

Telegram.

Szczawnica, d. . . sierpnia . . . roku. Bawiące tu u wód damy urządziły na oświatę ludu wentę przedmiotów zbytkowych, które kupujący (bardzo drogo) obowiązali się, bez wyjątku, złożyć jako fanty na wielką loteryę komitetu składek dla oświaty ludu. — Zapał dla oświaty ludu niewidziany. — U innych naszych wód ma być, jak słyszymy, to samo.

Te Polki powaryowały, *ma parole!*
(przypisek mój)

Arodaz.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

TEATR. (*Br. Z.*) We Środę (d. 14 b. m.) przedstawiono na scenie lwowskiej 1-aktowy dramat Eugeniusza Manuela: „*Robotnicy*“ w pięknym i wiernym przekładzie pani Seweryny Duchińskiej. Jest w nim i szeroka a zdrowa myśl społeczna, jest poetyczne ujęcie przedmiotu, jest głębsze a unikajace cynizmu malowidło charakterów. Kilka postaci wplątanych w grę wzburzonych uczuć, które przeprowadza autor umiejętnie, wyczerpująco i powabnie. Wyrobnica Joanna miała niegdyś męża, brudnego rozpustnika, który w trunku zagrzebywał pamięć o rodzinie, obowiązkach, pracy... Powracając raz z nocnej hulanki rzuca się na żonę, czyniącą mu wyrzuty i kaleczy ją nożem... Powstaje zgiełk, Morin ucicka przed sprawiedliwością i aż po 20 latach skruchy i ciągłej walki ze sumieniem powraca... Matka w jego obliczu rozpowiada synowi całą hańbę przeszłości... Walka wzruszająca, która kończy sie przebaczeniem... Ścieraja się w tym dramaciku dwa światy, dwie epoki społeczeństwa francuzkiego, nadając mu barwe socyalnej tendencyi... Rozpustny i pijanica Morin, to robotnik dawny, to epoka ciemnych i duszących stosunków, to jeden z tych, którzy musieli mieć swoją rewolucye marcową, swoje idee komuny; Marceli to przyszłość stanu robotniczego, epoka światła, oszczedności, uczciwych obyczajów, epoka nienaruszonych praw „rodziny i własności,“ z któremi wbrew Internationalowi może ostać się szczęście robotnika — to rozwiązanie kwestyi socyalnej bez wyrafinowanych dziwactw Fourriera i Consideranta... Piękny ten poemacik dramatyczny wykonali z wzorową starannością: pani Aszpergerowa (Joanna), panna Deryng (Helena), pp. Konarski (Morin) i Woleński (Marceli).

Składka na fundusz szkół ludowych.

Stanisław Nurkowski 2 złr. — Z kwotą poprzednią 36 złr.

KORESPONDENCYA od REDAKCYI.

Redakcyi *Tygod. Wielkop.* Jeżeli apostrofa Waszą nie do nas była wymierzoną, chętnie odpowiedź cofamy. Niczego mniej nie pragniemy, jak polemiki dla polemiki. Zawsze jesteśmy zdania, że cele i dążności nasze w obec obu prowincyi powinny być jedne i solidarne.— *Panu W.* w Krakowie. Za parę dni odpowiemy.

Od redakcyi. Szan. Abonentom, którzy dotąd opóźniają się z ponowieniem przedpłaty, przypominamy, iż należy to uczynić w **najkrótszym** czasie, jeżeli nie chcą ucierpieć zwłoki w odbieraniu pisma.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.